

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIO- DNIOWIEC

ROK 7

WARSZAWA — 1934 — 20 STYCZNIA

NUMER 3

REDAGUJE KOMITET

TREŚĆ: A. KURLANDZKA — Etyka wolnomyślicielska. Dr. L. ZAMENHOF — Czy zawiniła kultura? ST. ASTÉ — Chrześcijańskie mity. Odpowiedzi redakcji — O towiańizmie i Towiańskim. Kronika. Odczyty w Polskim Związku Myśli wolnej.

Etyka wolnomyślicielska

Ci, którzy zajmują się historią etyki, wiedzą, że większość moralistów, filozofów i społeczników godzi się na t. zw. „złote prawidło”: „Czyń tak, jak chcesz, aby tobie czyniono“*) Jest ono uważane przez nich za podstawę etyki, i istotnie, jakkolwiek można sobie wyobrazić systemy etyczne opierające się na innych zasadach, niema wśród nich żadnego, któryby dawał równie dobrą gwarancję zabezpieczenia równości. Ludzie nie są sobie równi pod wieloma względami, ale każdy z nich pragnie jednakowo silnie szczęścia. To pewna, że wszelka nierówność traktowania grup lub jednostek zabija poczucie solidarności, a więc uniemożliwia życie społeczne.

Złote prawidło uzasadnia się w najrozmaitszy sposób. Religie zachęcają do jego przestrzegania zapomocą nadprzyrodzonych sankcyj: szczęścia w niebie lub mąk w piekle. Moraliści wyprowadzają je z pobudek egoistycznych lub altruistycznych, zależnie od usposobienia danego pisarza. Guyau szuka dla niego usprawiedliwienia w ekspansywnej sile życiowej, która znajduje ujście w promieniowaniu na zewnątrz energii intelektualnej i żądzy czynu. W ostatnich czasach co-

*) B. Shaw powiada, że prawidło: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemile“, nie może być zasadą ogólną, gdyż upodobania mogą być różne. Np. masochista uczuwa rozkosz gdy go biją i poniżają, piszący te słowa tego rodzaju traktowania wcale za przyjemne nie uważa. I t. d.

raz częściej dają się słyszeć głosy, że etyka ta jest poprostu dążeniem do dobra społecznego. Kropotkin utrzymuje, że dobrem jest to, co jest dla społeczeństwa pożyteczne, złem zaś to, co jest dla niego szkodliwe. Z definicji tej wynika, że dobro jednostki jest jednocześnie dobrem społeczeństwa. Jest to jedna z wielkich, choć często zapoznawanych prawd, że ruina społeczeństwa pociąga za sobą zagładę jednostki, a odwrotnie: ucisk i demoralizacja jednostki doprowadza do upadku społeczeństwa.

Bez względu jednak na te lub inne uzasadnienia treść etyki pozostaje ta sama. Dla ludzkości w jej walce ze światem zwierzęcym i siłami przyrody etyka była i jest narzędziem w walce o byt. Będąc dotąd zwycięzcami w tej walce, możemy sobie pozwolić na zastosowanie norm etycznych — w miarę możliwości — do wszystkich istot żyjących. Tutaj niezawsze moglibyśmy kierować się złotem prawidłem, lecz w każdym razie obowiązuje nas zasada sprowadzenia cierpień zadawanych przez nas innym istotom do minimum, dającego się pogodzić z wymaganiami walki o byt.

Z pośród mnóstwa norm etycznych największą dla wolnych myślicieli wagę mają te, które regulują stosunek jednostki do społeczeństwa. Pochodzi to stąd, że rola nasza w społeczeństwie jest nieco odrębna. Wolny myśliciel jest — jak to z samej nazwy wynika — człowiekiem, który myśli samodzielnie, nie krępując się przyjętymi w danej epoce teorjami i poglądami. Na tej drodze dochodzi on do nowych myśli, dających początek nowym prądom umysłowym. Jakkolwiek wydawałoby się mogło *a priori*, że cała ludzkość powinna by jeśli nie z wdzięcznością, to w każdym razie życzliwie powitać tych, którzy otwierają jej nowe horyzonty, to jednak doświadczenie historyczne poucza nas o czemś wręcz przeciwnem. Typowym przykładem jest np. proces Sokratesa lub wyklęcie Spinozy, ale nie wątpię, że przykładów takich bardzo dużo przytoczyćby można. To wrogie przyjęcie jest rezultatem dwóch przyczyn:

Po pierwsze, wolna myśl jest kamieniem obrazy dla ludzi przywiązanych do dawnych form i zwyczajów, gdyż rani ich najdroższe uczucia.

Po drugie, wolna myśl podważa istniejące urządzenia społeczne. Jak mówi Albert Barbanell: „teorje moralne są teorjami o życiu i póki to życie nowych form nie rodzi, mózg pozostaje jałowym“. Gdy jednak odczuwa się potrzebę zastąpienia przeżytych urządzeń nowymi, myśl otrzymuje potężny bodziec w określonym kierunku i wielu wolnomyślicieli danej epoki zaczyna krytykować wartości, na których dotychczasowe instytucje się opierały. W ten sposób wolni myśliciele stają się zwiastunami nowych przemian.

Nie należy jednak zapominać o tem, że w każdym układzie stosunków społecznych spotykamy pewne grupy lub warstwy, którym on najbardziej dogadza i które wskutek te-

go stają się jego obrońcami. Grupy te stają się najzaciętszymi wrogami nowych prądów umysłowych, gdy tylko zaczynają pojmować, że prądy te dążą do przebudowy społecznej. Decydującą rolę odgrywa tu obawa utracenia uprzywilejowanego stanowiska. Musimy się zatem pogodzić z tem, że przez długie jeszcze wieki wolni myśliciele — jako ci, którzy rozbijają tablice starych przykazań — będą uważani przez większość za bluźnierców i przestępców. I to właśnie powinno stanowić ich chlubę i chwałę.

W tej sytuacji wolni myśliciele, pragnący ułatwić zadanie swoim następcom, powinni kłaść wielki nacisk na jedną z przeważnie niedocenianych norm etycznych — a mianowicie na tolerancję. Nietylko dlatego, że tolerancja daje w walce ideowej równe szanse, a zgodnie z pięknym powiedzeniem Johna Stuarta Mill'a „prawda nigdy jeszcze nie doznała porażki w otwartym spotkaniu, ale i dlatego, że wobec coraz to silniejszych dążeń do planowej gospodarki, należy się obawiać spotęgowania zależności ekonomicznej, a co za tem idzie, daleko większej, niż dotąd, łatwości stosowania represyj ekonomicznych.

Krzewienie tolerancji jest pracą na długą metę. Skłonność do narzucania ludziom własnych poglądów, zanim się jeszcze zdąży przekonać ogół o ich słuszności i dążność do uszczęśliwiania ludzkości wbrew jej woli są bardzo rozpowszechnione w życiu społecznym. Pomimo jednak strasznych spustoszeń, jakie powoduje fanatyzm, zwalczanie go jest rzeczą bardzo trudną, gdyż podsycają go prześladowania, a podtrzymuje niski poziom kultury, na którym się obecnie społeczeństwa ludzkie znajdują. Niedarmo nazwano fanatyzm — zazwyczaj przybrany w szatę dogmatyzmu — śmiertelnym wrogiem myśli wolnej. Najlepszym nań lekarstwem jest świadomość, że niema takiego poglądu, którego zwolennicy nie mogliby się pewnego dnia znaleźć w mniejszości i wstręt do nawracania pod przymusem.

Dopóki fanatyzm nie zniknie z kuli ziemskiej, wolni myśliciele będą musieli zwracać baczną uwagę na ten najslabszy punkt etyki — pojęcie kary i przestępstwa.

Można mi zarzucić, że stosunek społeczeństwa do przestępców niewiele powinien nas obchodzić, gdyż rozróżnia ono bardzo dobrze przestępstwo posiadania odmiennych niż większość przekonań od przestępstw pospolitych. Oczywiście — tylko, że mimo rozróżnień teoretycznych, metody traktowania więźniów są niestety identyczne w obu wypadkach. Wypływają one z przekonania, że można zapobiec przestępstwu zapo-
mocą kary, przyczem pod nazwą kary rozumie się umieszczenie człowieka w warunkach podkopujących jego zdrowie, pozbawienie go wszelkich przyjemności i odcięcie od świata.

Jak widzimy, przestępcy nie są traktowani indywidualnie, lecz masowo. Społeczeństwu jest najwidoczniej obojętny zarówno rodzaj, jak i przyczyny tego, co za wykroczenie uważa.

Chodzi tylko o odstraszenie od powtórzenia popełnionego przestępstwa.

Nietrudno wykazać, że podobne traktowanie nigdy nie może osiągnąć zamierzonego celu. Można je porównać do próby naprawienia zegarka zapomocą uderzeń młotkiem. Wynik jest zgóry wiadomy: zegarek albo zostanie rozbity, albo zepsuje się jeszcze bardziej. To samo dzieje się z człowiekiem: albo upadnie na duchu i zostanie złamany, co uczyni go na resztę życia czynnikiem moralnie destrukcyjnym, gdyż społeczeństwo może być zdrowe tylko wtedy, gdy jego członkowie mają poczucie własnej godności — albo też stanie się jeszcze bardziej zacięty. W każdym zaś razie będzie wrogo do społeczeństwa usposobiony. Jeśli został — jak to się bardzo często zdarza — niejako zmuszony do popełnienia przestępstwa przez okoliczności niezależne od jego woli (np. dziedziczność, nędza, namiętność), to odczuje karę jako niesprawiedliwość. Jeśli motyw były ideowe — kara będzie dla niego prostem prześladowaniem. Jeśli wreszcie jest krótkowzrocznym samolubem lub pozbawionym wyobraźni okrutnikiem, to napewno nie przekona go się o niesłuszności i szkodliwości jego postępowania, pokazując mu, że społeczeństwo potrafi być w stosunku do niego równie okrutne i samolubne. Wady charakteru może leczyć psycholog, używający w tym celu wszystkich czynników cywilizujących człowieka; kształcących jego myśl i wolę oraz budzących w nim nowe uczucia i pragnienia — nikt jednak nie będzie na serjo twierdził, że do czynników tych należy zamknięcie w czterech ścianach, szorstkie obejście dozorców i brak jakiegokolwiek zaufania do otoczenia.

Z naszych dotychczasowych rozważań wynika, że stosunek społeczeństwa do jego członków niezawsze jest wolny od zarzutu. W epoce naszej dużo mówi się o obowiązkach społecznych jednostki, a jednocześnie depcze się w imię tego czy innego ideału społecznego jej najelementarniejsze prawa. Postępowanie to nie jest nowością. Organizacja grupowa — religijna, narodowa czy klasowa — zawsze wzywała jednostkę do jaknajdalej idącej ofiarności i do bezwzględnego zespolenia się z nią — nierzadko aż do zatrąty własnego sądu — wzamian za niewątpliwie, ale drogo okupowane korzyści wynikające ze zrzeszenia.

Nie mam bynajmniej zamiaru twierdzić, że jednostka w swoim stosunku do społeczeństwa winna prowadzić ścisłą buchalterję wzajemnych usług. Życie jednostki uspołecznionej jest bogatsze i daje większe pole do użytkowania drzemających w niej możliwości rozwojowych, niż życie jednostki samolubnej. Codzienna obserwacja pokazuje nam, że możliwość poświęcania się dla drugich jest często źródłem głębokiej radości. Pod jednym wszakże warunkiem: poświęcenie musi być dobrowolne. Natomiast zupełnie inaczej się sprawa przedstawia, gdy organizacją społeczną staje się Mo-

lochem któremu składa się w ofierze jednostkę, nie pytając jej o zdanie. To, co mogło być smutną koniecznością w pierwotnym plemieniu, któremu każdej chwili groziła zagłada i którego członkowie nie zdobywali się jeszcze na samodzielne rozumowania, nie może już być usprawiedliwione na trochę wyższym poziomie kultury. Należy raz wreszcie postawić zasadę, że jednostka wtedy tylko jest zobowiązana do wdzięczności wobec społeczeństwa, jeśli to ostatnie rzeczywiście pełni swą powinność. Tutaj mamy prawo domagać się przynajmniej trzech rzeczy: 1) Zabezpieczenia materialnej egzystencji jednostki, 2) stosowania wobec niej minimum przymusu wymaganego przez życie społeczne, 3) poszanowania jej indywidualności.

Zdaje się, że nie przesadzę, gdy powiem, że żaden z tych postulatów nie został jeszcze zrealizowany. Prawo do minimum utrzymania, czyli mówiąc poprostu prawo do życia, jest jeszcze pobożnym życzeniem, chociaż możemy zanotować parę prób w tym kierunku oraz wielką ilość obietnic.

Równie źle przedstawia się sprawa niezależności jednostki. Już Tomasz Huxley zauważył, że „im wyższy jest i bardziej złożony ustrój społeczny danej gromady... tem liczniejsza kategoria czynów, które, przestając mieć znaczenie wyłącznie osobiste, mniej lub więcej poważnie potracają o interesy drugich“ („Ewolucja i etyka“). Innemi słowy, rozwój społeczny idzie w kierunku coraz większego krępowania jednostki i dlatego jest rzeczą pierwszorzędną wagi przedsięwziąć wszelkie możliwe kroki, aby nie dopuścić do grożącej nam wszystkim automatyzacji życia zbiorowego. Dążność ta uwidatnia się bardzo jaskrawo w t. zw. epokach przełomowych. Chęć wytworzenia jaknajlepszych warunków dla szybkiego przekształcenia istniejącego ustroju skłania ludzi do wysławiania dyscypliny i ślepego posłuszeństwa. „Ideał proponowany nam obecnie—powiada nie bez słuszności współczesny myśliciel francuski L. Barbedette w art. „Na marginesie akcji“—to koszary, pensjonat lub klasztor. Wszyscy wstaną zrana o tej samej porze, będą jednakowo ubrani, będą pracowali równą ilość godzin, spożywać w tej samej chwili identyczne potrawy, położą się spać o danej godzinie i będą zmuszeni odpoczywać lub przynajmniej nudzić się w łóżku, aż do wyznaczonej minuty; rozrywki i spaceru zostaną również poddane ścisłej kontroli. Urządzenia te zadekretowane przez zwierzchników, którzy będą myśleli za masy, wejdą w życie pod dozorem surowych i nieprzekupnych kontrolerów“. Sama możliwość takiego ideału wydaje się wolnomyślicielowi groźnem niebezpieczeństwem, tem groźniejszym, że od czasów starożytnych nieustannie, w tym kierunku zmierzamy. Istnieją społeczeństwa zwierzęce—że wymienię tylko pszczoły i mrówki—które ten ideał urzeczywistniły; w zastosowaniu jednak do społeczeństw ludzkich zabija on inicjatywę indywidualną, paraliżuje impulsy twórcze i w rezultacie prędzej czy później doprowadza do zastoju.

Przejdźmy teraz do punktu trzeciego. Ze stanowiska etycznego swobodny rozwój jednostki jest równoznaczny z przyznaniem jej prawa do własnego sądu i samodzielnego wyrokowania w kwestjach spornych. Na tym właśnie terenie najczęściej dochodzi do konfliktów, gdyż wyrok jednostki może wypaść nieprzychylnie dla społeczeństwa, którego jest członkiem. Socjaliści angielscy, potępiający swój kraj w czasie wojny boerskiej, Multatuli, piętnujący nadużycia kolonizatorów holenderskich, żołnierz, ostrzegający z pobudek humanitarnych miasto wroga przed mającym nastąpić atakiem gazowym, integralni pacyfiści siedzący w więzieniu podczas wojny światowej — wszyscy ci ludzie zrywają w tej czy innej sprawie z własnym społeczeństwem, ponieważ doszli do wniosku, że postępuje ono nieetycznie, a zatem nie wolno się z niem solidaryzować. Istnieją oczywiście ludzie, którzy uważają, że należy aprobować bez zastrzeżeń to, co ich społeczeństwo robi, choćby to były czyny barbarzyńskie i nikczemne. Żadnemu jednak społeczeństwu deptanie etyki nie uchodzi bezkarnie i ci, którzy rozumieją inaczej, nie dostrzegają, że przyczyniają się do krzewienia ciasnego egoizmu, pychy, oschłości serca i t. p. cech, które ostatecznie muszą wpłynąć na rozluźnienie wewnętrznej spójności danej grupy. Jeśli dobrem ma być to, co jest pożyteczne dla społeczeństwa, a złem to, co jest szkodliwe, musimy za przykładem Kropotkina rozumieć pod nazwą „społeczeństwo” całą ludzkość, a lepiej jeszcze: ogół istot żyjących. Tylko wtedy unikniemy tego wynaturzenia etyki, które się zawsze pojawia, gdy zapatrujemy się na nią przez pryzmat interesów nie całości, lecz części, nie ludzkości, lecz poszczególnej grupy. Wysuwanie na pierwszy plan własnych interesów jest rzeczą dopuszczalną, a nawet dla całej ludzkości pożądaną jedynie wówczas, gdy jakieś jednostce lub grupie dzieje się krzywda. Rozgrywa się wtedy walka nie tylko w imię własnego egoizmu, ale również i o usunięcie krzywdy, zaprowadzenie stosunków, w którychby ona istnieć nie mogła. Tem właśnie tłumaczy się fakt, że walka ta rodzi sympatię w osobach lub grupach, które logicznie biorąc powinnyby pozostać na uboczu. Oburzenie na widok krzywdy, chęć jej usunięcia, dążenie do wyższej moralności — wszystko to sprawia, że grupa uciskana znajduje nierzadko nawet we wrogim obozie sprzymierzeńców gotowych do publicznej obrony jej postulatów. Rola etyki w życiu społecznym jest olbrzymia. Zachodzi tu oddziaływanie wzajemne nakazów etycznych i instytucji społecznych. Niema nakazu etycznego, któryby nie przyczynił się do wytworzenia jakiejs instytucji i odwrotnie niema instytucji, któraby nie posiadała swego etycznego odpowiednika w sumieniu jednostki. Dlatego zniesienie jakiejs niezgodnej z naszymi pojęciami etycznymi instytucji musi być usankcjonowaniem rosnącego wstrętu społeczeństwa do niej, stwierdzeniem, że dziewięć dziesiątych członków społeczeństwa nie chce z niej korzystać i wyrzeka się wszelkich ko-

rzyści, jakie ona przynieść im może. W przeciwnym razie będzie to zniesienie czysto mechaniczne, trwające tak długo tylko, póki panuje mniej lub więcej liczna grupa, która tę zmianę społeczeństwu narzuciła. Ci, którzy tę prawdę zapoznają i sądzą, że przeobrażenia społeczne odbyć się mogą na drodze policyjno-biurokratycznej bez żadnej rewolucji moralnej, przekonywają się wkrótce o zupełnej niemożliwości zrealizowania w ten sposób swoich ideałów. Można coprawda—że weźmiemy konkretny przykład—zakazać prawnie wyzysku cudzej pracy i dopilnować tego zakazu przy pomocy całej armii urzędników i policjantów oraz surowych kar—droga ta jednak doprowadziłaby nas do absolutyzmu i ciążącej jak zmora nad wszystkimi organizacjami centralistycznej. W tych warunkach nowy ustrój byłby, jak powiada Abramowski „nie tylko czemś ogromnie powierzchownem i słabem, lecz co więcej, przeistoczyłby się w państwowość, gnębiącą swobodę jednostki, a zamiast dawnych klas wytworzyłby dwie nowe—obywateli i urzędników, których antagonizm wzajemny przejawiaćby się musiał we wszystkich dziedzinach życia społecznego“ („Etyka a rewolucja“). To pewna, że uciskana grupa—w danym razie proletariąt—wyobraża sobie wyzwolenie trochę inaczej.

A zatem, chcąc zmienić nieetyczne urządzenia społeczne, należy przede wszystkim wytepić w życiu praktycznym uznanie dla ich użyteczności i napiętnować posilkowanie się nimi jako rzecz niemoralną. Któż może uważać za dobry materiał do lepszego uporządkowania świata człowieka, który mówi o wolnem społeczeństwie bezklasowem, ale tyranizuje swoje dzieci i żonę—który potępia bogatych kapitalistów, ale umieszcza swoje pieniądze na procent—który mówi ze łzami w oczach o braterstwie wszystkich uciśnionych, ale gdy spostrzeże brak najdrobniejszej rzeczy, melduje o tem policji, niewiele się troszcząc, czy nie zepchnie swego bliźniego w otchłań ostatecznej rozpaczki? Tacy ludzie nie zmieniają się, jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a jeśli będą stanowili większość, to jedynym wynikiem, jaki osiągną, budowniczo wie nowego świata, będzie przemalowanie starych instytucyj na nowy kolor.

Wyższy stopień etyki, konieczny do wcielenia w życie ideału sprawiedliwości społecznej, nie jest tak trudny do osiągnięcia, jakby to się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Odwołać tu się można przede wszystkim do solidarności, która rodzi się niemal samorzutnie tam, gdzie prowadzi się pracę ideową, nie dającą doraźnych korzyści osobistych i wymagającą nieraz poważnych ofiar. Godne jest uwagi, że najwyższy poziom etyczny, do jakiego można dojść w obecnym ustroju, osiągnęli spółdzielcy, a więc ludzie, którzy stworzyli organizacje, oparte na solidarności i zupełnej zgodności interesów. Solidarność z natury rzeczy prowadzi do zrzeszeń, a zrzeszenia (oczywiście dobrowolne) rozwijają w swoich członkach samodzielność, ufność w swoje siły, zro-

zumienie dobra pomocy wzajemnej oraz skłonność do przyjaźni i braterstwa. Na tych właśnie cechach oprzeć się musi reformator społeczny, o ile nie chce budować na piasku. Wszystko można zrobić z ludźmi umięającymi bez pomocy zewnętrznej tworzyć związki, organizować warsztaty pracy, urządzać w razie potrzeby próby doświadczalne i decydować samodzielnie o sprawach dla nich żywotnych — nic nie robi się z ludźmi, wyczekującymi dekretów, subwencji, kierownictwa i mężów opatrnościowych.

Na zakończenie, chciałabym powiedzieć parę słów o stosunku etyki do religji. W interesie religji leży utożsamienie jej z etyką; to też każda religja, oprócz dużej ilości dogmatów, posiada również kilka nakazów etycznych. Jeśli jednak przyjrzymy się tym nakazom zbliska, zauważymy, że te z pośród nich, które się ostały dotąd, nie wpominają nic o bogu lub siłach nadprzyrodzonych. „Kochaj bliźniego twego“ lub „Nie zabijaj“, — to przepisy, które stosuje się na tym świecie do żywych ludzi. Natomiast gdy religja zaczyna mówić o bogu i życiu przyszłym, wygłasza albo rzeczy, których nikt nie bierze na serjo, jak np. przykazanie „Nie będziesz brał imienia pana boga twego nadaremno“, albo rzeczy wręcz niemoralne, jak doktryna ognia piekielnego na tamtym świecie, lub sławne powiedzenie, „co bóg związał, niech człowiek nie rozwiązuje“, które doprowadziło do uznania nierozdzielności małżeństwa i zatruli życie milionom ludzi. Religja jest tem etyczniejsza im mniej w niej jest nakazów czysto religijnych, czyli najlepsza jest wtedy, gdy jej już zupełnie nie ma.

A. Kurlandzka

Czy zawiniła kultura?

Hitlerizm, który jako huragan uderzył niespodziewanie w Niemcy, wprowadził cały świat w osłupienie. Nic więc dziwnego, że wszystkie naprędce sklecone komentarze do tego przewrotu, muszą się wydać sztucznymi i niewystarczającymi. Czas na szczegółową ocenę tych wypadków jeszcze nie nadszedł. Jednak już dziś, zanim ciężka maszyna nauki ze wszystkimi swemi akcesorjami przystąpi do badań ścisłych, wypadłoby nad sprawą tą zastanowić się bliżej, zwłaszcza tym, dla których sąsiedztwo zadżumionych dziś Niemiec nie jest zupełnie obojętne. Najwięcej rozpowszechniona na świecie opinja — ta opinja szarego człowieka, usiłuje rozwiązać zagadnienie prosto. Niemcy według niej nigdy nie posiadały prawdziwej kultury, a więc i tandetna jej skorupa musiała się rozprysnąć od pierwszego mocniejszego naporu furji teutońskiej.

To obrazowe określenie etjologii*) przewrotu niemieckiego, bardzo ponętne dla ogółu, jest przecież mało przekonujące. Czyżby istotnie ta katastrofa niemiecka była następstwem niezdrowej patologicznej kultury niemieckiej? Rzucanie wszystkiego do jednego śmietnika, nieodróżnianie ziarnka od plewy, nie tylko jest niesprawiedliwą oceną, lecz i szkodliwą, gdyż prowadzi do mylnych wniosków.

Czy istotnie kultura niemiecka uległa jakiemuś patologicznemu procesowi? Czy zboczenie dzisiejszych rasistów nie wyłączając potulnych przedstawicieli urzędowej nauki, mogą być uważane za naturalną konsekwencję tradycji Göthego, Kanta, Beethovena? Jeżeli na niezaprzeczenie kwitnącem podłożu długoletniej ku tury lat ubiegłych, nagle wystąpiły u Niemców objawy dzikiego wandalizmu, to nie jest to dowodem schorzenia samej kultury niemieckiej, lecz wystąpieniem choroby zupełnie niezależnej, wyrosłej na nienormalnym gruncie stosunków nowoczesnych. Patologiczną jest nie sama kultura, lecz ciężkie warunki, wśród których przebija ona sobie drogę do życia. Jeżeli dziś, w okresie najwspanialszych zdobyczy na polu nauki i techniki, znalazł tak silny wyraz obraz zdziwienia, to jest to wyłącznie następstwem tego, że kultura, niestety, coraz bardziej odbiega od swego istotnego przeznaczenia i staje się powoli formułą oderwaną od życia, tworem muzealnym, przeznaczonym wyłącznie na pokaz.

Cóż z tego, że natchnienie ludzkie stworzyło piękny pomnik ducha w postaci ewangeliji, która miała zapalić ludzkość do czynów wzniosłych, kiedy cała ta piękna nauka o miłości przypieczętowana męką jej twórcy, pozostała tylko bezdusznym emblematem, obrządkiem dekoracyjnym, obcym dla ogółu i z ducha i z treści? Co z tego, że prawdziwy postęp pracuje niestrudzenie na polu pacyfizmu i zbratania ludów, kiedy ci, którzy rządzą światem, niezawsze dorośli do swych odpowiedzialnych stanowisk, bojąc się każdej śmielszej, myśli, na wszelki wypadek asekurują się zarządzeniami, które uniemożliwiają zgóry prawdziwy pochód postępu? Z jednej strony buduje się wspaniałe pałace pokoju, wylewa się morze słów o współżyciu narodów, z drugiej zupełnie otwarcie podtrzymuje się paleniska wzajemnej nienawiści, aby przypadkowo przedwcześnie nie wygasły.

Zdawałoby się, że ta gra podwójna ominie przynajmniej świątynie, te pracownie powołane przedewszystkiem do tworzenia czystej kultury. Cóż widzimy w rzeczywistości? Obok wykładanych na zimno prawd wiedzy, wznieca się na gorąco w umysłach młodzieży najciemniejsze instynkty bratobójczej nienawiści, pod hasłem obłudnych ideałów rozbudza się bestjalstwo gwałtów. Czy w tych warunkach wyrastająca kultura może rozwinąć swój ożywczy wpływ na otoczenie? Najpożywniejszy pokarm, podany w niestrawnej postaci, zaw-

*) Etjologia — część medycyny, badająca przyczyny chorób.

sze działa jak trucizna. Nie lepiej dzieje się w dziedzinie kultury materialnej. Weźmy dla przykładu nawskroś utylitarną naukę, jaką jest medycyna. Jak wygląda w praktyce jej piękne posłannictwo służenia dobru publicznemu? Czy ma ona istotnie dostęp tam, gdzie jest najbardziej potrzebna? Cóż warto są te grube księgi mądrości o zdrowiu, higienie, eugenicie, te wspaniałe zjazdy i posiedzenia naukowe, poświęcone postępowi walki z chorobami, kiedy olbrzymia większość ludności coraz więcej pozbawiona jest najprimitywniejszych praw do życia — chleba, światła i powietrza? Czyżby te wszystkie zdobycze były przeznaczone wyłącznie dla tych, którzy przy łada niedyspozycji mają możliwość wyzyskania ich w całej rozciągłości, aż do absurdu, kiedy olbrzymie masy ludzkości, rzucone bez żadnej opieki na żer zarazków, stają się dla nich idealnym podłożem cieplarnianym? I to wszystko wtedy, kiedy świat, opływający w dostatek, mógłby zaspokoić wszystkie potrzeby ludzkości!

Oto, gdzie tkwi właściwa patologia kultury: — w jej sztywności, w jej akademickiej wyniosłości i niedostępności dla ogółu. Uczni piszą swe piękne dzieła, idealisci propagują swe szczytne ideały, ale rzadko kto zatroszczy się o to, aby owoce ich trudów osiągnęły swego celu i przeznaczenia w postaci nieskażonej, niezaprawionej fałszem i obłudą.

Hasło, że tylko ten ma prawo do korzystania z dobrodziejstw kultury, kto może wykazać się glejtem opłaconym na korzystanie z niej, coraz bardziej czyni tę kulturę obcą dla ogółu i nie należy dziwić się, jeżeli ciężkie warunki egzystencji stwarzają łatwy grunt do pójsicia za hasłami wstecznymi.

Oto, gdzie tkwi patologia stosunków obecnych. Oto główne podłoże wypadków w Niemczech, które w naszych warunkach bynajmniej nie przedstawia się pomyślnie. Zamykanie oczu na rzeczywistość, zwalanie wszystkiego na sztuczne pojęcie kryzysu, może doprowadzić do konsekwencji, których dzisiaj nie da się przewidzieć — aż do całkowitego pograżenia kultury, która w dziejach ludzkości już niejednokrotnie ulegała temu losowi.

To, co stało się z piękną kulturą Chin starożytnych, Indyj, Egiptu, żydów, arabów a nawet greków i rzymian, może się powtórzyć w naszym wieku, nad którym zawisła czarna, złowroga chmura niepewności. Próbné auto-da-fé, wzniecone przez ciemne potęgi u naszych sąsiadów, mogą buchnąć niebezpiecznymi iskrami i na inne kraje!

Dopóki hasłem życia będzie „wszystko dla wybranych“, największy nawet rozkwit kultury nie wystarczy dla unormowania stosunków międzyludzkich. Światło, które bije od niej w dzisiejszych nienormalnych warunkach, coraz bardziej traci na ciepłe życiodajnego słońca i staje się podobną do zimnych, bezdusznych promieni księżyca, często efektownych, ale zawsze martwych, jak martwym jest przedmiot, od którego zostały odbite.

Temu, co się stało w Niemczech, nie kultura zawiniła, lecz to, że do kultury tej nie miały dostępu masy, że w jej oczyszczającym ogniu nie przetopiły się w szlachetny kruszec cywilizacji pierwotne barbarzyńskie instynkty tłumów, które dzikusom w rodzaju Hitlera pozwoliły na czyny, jakich świat nie widział od czasów pierwszych fanatyków chrześcijaństwa i zburzenia aleksandryjskiej biblioteki.

Dr. Leon Zamenhof

Religja w ujęciu ankietowców

„*Kurjer Warszawski*“ wpadł na dobry pomysł. Rozpisał ankietę w sprawie kryzysu ekonomicznego, moralnego i wzajemnej ich zależności, a odpowiedzi ankietowców zamieścił w numerze noworocznym 1934. Jest tam wiele cennych uwag i głębokich myśli. Nie jest jednak zadaniem niniejszego artykułu ich omawianie, ale stanowisko względem religji, które, o ile jest szczere, zadziwić musi powierzchownością, a w niektórych wypadkach nawet jej zbyt słabą znajomością religji.

Na pierwszym planie umieściłbym Marję Rodziewiczównę, która jest zdania, że kryzys trwać będzie dopóki ludzie nie nawrócą do dekalogu. Jest to nadzwyczajne upraszczanie zagadnienia. Wprawdzie z 9 przykazań dekalogu, (nie dziesięciu, bo 9-e i 10-e są sztucznie rozdzielone: 9-e „ani żony“, 10-e ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest, z czego wynika, że żona stoi równorzędnie z wołem i osłem) przykazania dotyczące ludzi są zawsze aktualne, ale są za ubogie; nic z nich nie wiemy, jak należy urządzić gospodarkę społeczną, żeby wszystkim było dobrze, czy ma być feudalna, kapitalistyczna, komunistyczna, czy jakaś jeszcze inna, czy należy palić zboże, czy nie, czy dolar ma spaść w cenie, czy też nie, czy Pomorze ma być oddane niemcom, czy nie, bo Niemcy twierdzą, że to ziemia „urdeutsch“, a zatem Polacy według nich grzeszyliby przeciw dziesiątemu przykazaniu.

Ojciec dominikanin Jacek Woroniecki sądzi, że źródłem kryzysów moralnych jest grzech pierworodny. Zapewne, ze stanowiska teologa konsekwentnie! Kryzys rodzinno-obyczajowy ma przyczyny w „fałszywych doktrynach materjalizmu w połączeniu z pożądlivością ciała“. Dajmy na to! Ciągłe u mnichów jakoś ta „pożałdlivość ciała“ daje się słyszeć. Należy „wnieść wotum dziękczynne budując kościół pod wezwaniem Opatrzności Bożej“. — Jest to wszystko także wielkie nieporozumienie. Grzechu pierworodnego nigdy nie było — jak to już wielokrotnie było pisane na łamach „Woln. Polskiego“, — bo nie było Adama i Ewy, gdyż ludzkość pochodzi od zwierząt. Bez „pożałdlivości ciała“ nie byłoby małżeństw, a bez nich dzieci. Opatrzność boska źle się nami

opiekowała, pozwalając na rozbiór Polski i niewolę polityczną przez 148 lat, wobec czego niema podstawy do jakiegoś „wotum dziękczynnego”. W najlepszym razie, gdyby odzyskanie niepodległości Polski w 1918 r. miało być dziełem Opatrzności, to z wielkiem zdumieniem musielibyśmy przyjąć do wiadomości, iż opatrzność tyle czasu potrzebowała do naprawienia swego błędu. Gdyby nawet przypuścić za J. Woronieckiem, że grzech pierworodny nabródził w sprawie kryzysu, to czem wytłumaczyć okresy pomyślności, kiedy go nie było? Czyżby przestały działać jego skutki?

Jego eminencja arcybiskup Teodorowicz żali się, że ustawodawstwo o rodzinie ulega tezom zepsucia rozbijającym w posadach rodziny, i radzi iść za Jezusem. Nie trudno się domyślić o co chodzi: o prawo rozwodowe. To nie jest, naszym zdaniem, rozbijanie rodziny, iż jeśli komuś małżeństwo się nie uda, (a przyczyn bywa wiele), to nie może nic lepszego zrobić, jak jedno zlikwidować, a nowe, lepsze, zawrzeć. Poprawianie błędów jest cechą ludzi rozsądnych. Jego eminencja nawołuje więc do tego, żeby postępować nierozsądnie. Co do małżeństw zaś, to nie od Jezusa, który nie był człowiekiem rodzinnym, ale od apostoła Pawła dowiedzieliśmy się z jego I. Listu do Koryntjan VII 2 „dla nierubstwa niech każdy ma swoją żonę, a każda niech ma swego męża”, a więc nie dla miłości, ale wyraźnie dla porubstwa! Nie ma wersetu na to, iż małżeństwo jest sakramentem, bo jedyny werset Pawła do Efezów V 32 o połączeniu się kobiety z mężczyzną: „Sakrament to wielki jest...” brzmi po grecku „mystérion tuto méga estín” jest złym przykładem, gdyż wyraz „mysterion” znaczy „tajemnica”, nie zaś „sakrament”. Mimo tego miłość jest rzeczą świętą, nawet bez pomocy biblii.

Za Jezusem, jako przewodnikiem prowadzącym do wyjścia z kryzysu, nie mamy po co iść. Cóż by nam mógł poradzić? Czy może, żeby się nie troszczyć o pokarm i odzież, gdyż ptaki niebieskie, które nie są tak wierne, jak ludzie, są przedmiotem troski Ojca niebieskiego, a coś dopiero ludzi! Jednem słowem zalecenie Jezusa brzmi (Mt VI. 31): „Nie troszczcie się tedy, mówiąc: cóż będziemy jeść, albo co będziemy pić, albo czem się będziemy przyodziewać?” — To są naiwności! Dlatego też: nie pójdziemy za nim!

Były minister spraw wewnętrznych, Zygmunt Chrzanowski pisze: „Ewangeliczne słowa: w pocie czoła będziesz dobywał chleb twój, stały się oderwanym od życia dogmatem”. To nie są słowa z ewangelji, lecz z księgi Genesis III 19 powiedziane przez Jahwe-Elohim do wypędzanego z raju Adama. Poglądy na pracę Jezusa są inne. Podaliśmy je omawiając zalecenia arcybiskupa Teodorowicza. Niezależnie od tego, trudno się zgodzić, żeby zdobywanie chleba w pocie czoła było oderwanym od życia dogmatem. Chyba raczej naodwrot: są przykrą rzeczywistością. Praca nie jest w dzisiejszych warunkach „wyzwoleniem”, lecz zazwyczaj jarzmem

bo nie pozwala na wyzycie z zarobku za nią. Jak będzie w przyszłości, nie przesadzamy.

W zdumienie wprawia „chorąży pozytywizmu warszawskiego“ Aleksander Świętochowski, który twierdzi, że chrystjanizm przetrwał 1900 lat, ponieważ Chrystus uczył: wszystko dla człowieka. Cóż to nazywa się chrystjanizmem? Idea miłości bliźniego, nie jest chrystjanizmem, bo znajduje się w księdze Leviticus XIX 18, skąd ją przytacza Jezus, zresztą nie jest ona kwintesencją chrystjanizmu, gdyż jej zaprzeczeniem jest wrzucanie w morze płomieni przez Jezusa wszystkich potępionych na sądzie ostatecznym na całą wieczność*) za to, że nie oparli się przemożnemu bogu, o którym tenże Jezus poucza że wводить ludzi na pokuszenie, choć go ludzie o to proszą, żeby tego nie robił. Chrystjanizm nie jest jednolitym. Tak na przykład w Apokalipsie Jezus jest inny, niżli w ewangeljach synoptycznych, a chrześcijaństwo z jego 20-kilku wyznaniami jest czymś zbyt już od chrystjanizmu oddalonym. Zwycięstwo katolicyzm zawdzięczał dawanu sferom niewolniczym złudnych nadziei lepszego bytu na „tamnym świecie“, gdy na tym było im źle, a pozatem doskonałej organizacji państwa rzymskiego, z której umiał skorzystać, co przyznał ojciec kościoła Ireneusz, a co powtórzył Mussolini ku oburzeniu obecnego papieża. Pozatem tak sformułowanej nauki Jezusa, jak ją podaje p. Aleksander Świętochowski, w biblji nie mamy. Jest to przeróbka hasła *Suum cuique* — Każdemu dać, co jest jego! Wzięte z Cyclerona „*De officiis*“ I. 5 i motto orderu „Czarnego Orła“. Dewiza Prus. Co ma Jezus do Cyclerona?

Inni, jak ks. Jan Rostworowski, uważają, że, „fatalną cechą liberalizmu była wyraźna niechęć do obiektywnej religji, t. j. do pozytywnego dogmatu i do instytucji kościoła, jako przedmiotowy pośrednik i przewodnik na drodze prawdy i łaski“. Tak mówi ksiądz, co nas oczywiście nie dziwi. Nie mamy obiektywnej religji. Cóż to takiego owa obiektywna religja? Każda się przecież za taką uważa, a jest ich wszystkich 47, a w samej jednej chrześcijańskiej przeszło 20 wyznań. Jakżeż tu mówić o obiektywnej religji, o przedmiotowym przewodniku, skoro wszystko jest podmiotowym nastrojem, z którego dopiero niewiara leczy.

Tak samo niepodobna się zgodzić z prof. Romanem Rybarskim, gdy nam mówi, że ponad walkami sprzecznych interesów „musi istnieć silna spójnia moralna, którą daje religja“. Która z 47? Są sprzeczne dla tych, którzy je porównują a wszystkie oparte na mitach, np. chrześcijańska o odkupieniu ludzkości, która nigdy nikomu zaprzędaną nie była, o niepokalanem i pokalanem poczęciu (Marji, a nas przez nasze matki), co nie da się przyrodniczo utrzymać, o zmar-

*) Nie jest to więc „jarzmo lekkie i radosne“, jak je nazywa Stanisław Miłaszewski, idąc za Mt XI. 30.

twychwstaniu Jezusa do stratosfery, gdzie oddychać nie można i t. d.

Dr. Józef Zawadzki mówi o „sprawiedliwości chrześcijańskiej”. O sprawiedliwości słyszeliśmy wiele i od wielu, ale dotychczas sądziliśmy, że jest tylko jedna. Od dra Józefa Zawadzkiego dowiadujemy się o jej jakiejś szczególnej odmianie, zwanej „chrześcijańska”. Cóż to za dziwoląg? Radzi bardzo bylibyśmy się dowiedzieć czem się różni od niechrześcijańskiej?

Zygmunt Wasilewski pisze, że „przestano rozumieć, skąd się wziął kościół w budowie cywilizacji”. Tej rzeczy wcale nie przestano rozumieć, ale zarówno instytucję kościoła wyjaśniają genetycznie podręczniki historii, jak i chrześcijańskie mity badania mitologów (patrz artykuły o tem w ostatnich numerach W. Polskiego), nie wyłączając „największej z ofiar, która się spełniła na Golgocie”, jak nam pisze Feliks Młynarski, choć nie wiem, dlaczego mamy wierzyć w to, żeby ojciec pozwalał dla prześlęgania swego majestatu umierać synowi. Czyżby tak się zaciął w swym gniewie?

Prof. Oskar Halecki zaleca „odrodzenie w Chrystusie”. Jest to pojęcie mistyczne. Kościół złożony z milionów wyznawców, tworzy ciało Chrystusa, który tu nawet realnie nie jest pojęty.

Adam Heydel żali się, że myśl wdziera się w dziedziny, których głębi i znaczenia dotychczas nie objęła. Tu ma na myśli między innymi religję. „Nauki przyrodnicze stwierdzają wciąż, że coś, co uchodziło za zabobon było głęboką mądrością pokoleń”. Wszystko to nieprawda! Zabobony były bądź to naiwnym poglądem na świat i przemiany w nim, bądź to naiwną, na zaklęciach opartą techniką opanowywania mocy przyrody. Dzięki nauce zrozumieliśmy tajniki rozwoju wierzeń, niema więc potrzeby głądzić na nią.

Ale już dość tej polemiki! Ogólnie można powiedzieć, że o ile uwagi ankietowców społeczne i ekonomiczne są często trafne i godne zastanowienia, to w dziedzinie znajomości religii poglądy bywają niewyrobione, naiwne, są dalekiem powiększeniem tego, co tam kiedyś ksiądz katecheta nakładał do niewyrobionej głowiny ucznia bezkrytycznego. Potem tego się nie pogłębiało, ani rewidowało. Poza teologami bodaj żaden z ankietowców porządnie biblii nie czytał i nie prze-myślał, a z obecnym stanem badań religjoznawczych ani nawet w części nie jest obeznany.

Posłowie wszystkiemu wypowiedział p. Stanisław Szpo-
tański o dogmatach. Swego czasu napisał mądre zdanie, że zginąłby ten, ktoby ideologję Mickiewicza obrał za przewodnika, bo życie już od jego czasów odbiegło. A nas chce karmić dogmatami dawnych wieków w epoce, gdy niejako dogmatem staje się to, że jedynem rozsądnem badaniem jest badanie wolne, bezdogmatyczne. Niechby więc o tem pamiętał i powrócił do ideologii czasów uniwersyteckich, kiedy się

jeszcze nie zaprzął do apologetyki dogmatów. Nie wystarcza już dziś odczytanie w pisarzach epoki romantycznej, ale także w studjach religjonistycznych ostatniej doby.

Nie powinna również ex-wolnomyślicielka p. Iza Moszczeńska zapominać artykułów swych z „Panteonu“ i innych. Nawroty ku religji są objawem... starzenia się.

S. A.

Chrześcijańskie mity

(ciąg dalszy)

Dwie epoki astronomiczne w wątku jesusowym

Owym czterem punktom kardynalnym ekliptyki odpowiadały odpowiednie gwiazdozbiory, które w okresie trwającym 2200 lat przesuwają się o jeden znak wstecz. A więc przypadały:

<i>w epoce Cielca:</i>	<i>w epoce Baranka:</i>	<i>w epoce Ryb:</i>
w roku 2900 — 700 przed Chrystusem	700 przed Chryst. —1500 po Chryst.	od 1500 — 3700 po Chryst.
przesil. zim.	Wodnik	Koziorożec
równ. wiosen	Cielec	Baran
przesil. letnie	Lew	Rak
równoc jesień	Niedźwiedź	Waga
		Strzelec
		Ryby
		Bliźnięta
		Panna

Wątek jesusowy wykazuje pomieszanie wątków z obu epok: starszej Cielca i młodszej Baranka. Do epoki starszej należy wątek o zdradzie Judasza odpowiadającego Lwu (Gn. XL IX 9: „Młody lwie Jehudo!). On to zdradzał podczas przesilenia letniego słonecznego bohatera za 30 srebrników, czyli 30 stopni tego znaku. Wprawdzie tyleż stopni (srebrników) liczył każdy z 12 znaków zwierzyńca, ale ten znak wyłącznie stał się znakiem zdrady, gdyż przypada na szczyt chwały Słońca. Każdy dzień, a zatem także każdy stopień tego znaku jest zbliżaniem się końca chwały słonecznej. Potem rozpoczął się już okres jej upadku. Dni stawać się zaczęły krótsze, a wyrównawszy się z nocą, zaczęły zmniejszać się coraz to więcej aż do zupełnego pogrzebienia światła w okresie przesilenia zimowego. Nic dziwnego, że więc na tym znaku najwyższej chwały Słońca uwaga skupiła się w sposób szczególniejszy, niż na znakach innych, że z troską i obawą przelicza stopnie tego znaku, na podobieństwo człowieka, który wydaje ostatnie swe pieniądze, jakie posiada, poczem czeka

go już tylko okres nędzy, wzrastającej coraz to więcej. Stąd znak ten jest znakiem krytycznym, znakiem zdrady, a zarazem znakiem liczenia, pieniędzy, chciwości, oszczędności przezornej lub skąpstwa.

Z epoki młodszej Baranka do wątku jeżusowego weszła tradycja o nim, jako o Baranku wiosennym, który gładzi wpływy zimy i odnosi zwycięstwo nad jej mrokami. Tradycja ta rozwinęła się bogato w Apokalipsie XIV, widoczna jest także w ewangelji Jana J 1. 29, 36. W innych ewangeljach żadnej roli nie odegrała. Baranek ten przybiera znaczenie symboliczne. Tak np. Dzieje Apostolskie IX. 32 powołują się na werset z Jezajasza LIII 7: „Dręczony był, ale ulegał i nie otwierał ust swoich, jako jagnię na rzeź wiedzione i jako owca przed postrzygaczami swojemi zaniemiała;—a nie otwierał ust swoich“. Odnosi się to do postaci „sługi Jahwy“, indywidualności według komentatorów żydowskich zbiorowej, która już za czasów Jezajasza żyje i pokutuje, a ma się pojawić dopiero po upływie stuleci. Na ten werset rychło do nowych celów przerebiony, powołują się Dzieje Ap IX. 32 i I List Piotra I. 19 odnosząc to do Chrystusa. Podobnie Jan I 29, 36. W Apokalipsie XIV 1—5 niema Baranek jeszcze charakteru martyrologicznego, lecz raczej adoracyjny.

Drugim znakiem z epoki Baranka, to znak Koziorożca, który posłużył za wzór do stylizacji djabła, przedstawionego z kopytami, rogami i bródką kozłą. Zenon z Werony w tym znaku umieszczał djabła. Nic dziwnego, bo jest to epoka największego poniżenia Słońca i zarazem epoka, kiedy wśród tego poniżenia zacznie się ono rodzić, czy też odradzać, jako nowe i rość w siły.

Przeciwieństwem jego jest znak Wodnika, czyli zimowego przesilenia. Na znak ten przypada postać Jana Chrzciciela, który przy zetknięciu z Jezusem powiada o nim (J III 30): „On ma rość, a ja się umniejszać“. Bo od tej chwili, t.j. od zimowego przesilenia ku równonocy wiosennej wpływy Słońca mają w istocie zacząć wzrastać, a w miarę posuwania się Słońca od Wodnika, znak ten coraz to więcej tracić będzie na znaczeniu.

Tak więc w tym systemie zachowały się stare tradycje, z których pierwsza o zdradzie Judasza jest hebrejska i powtarza się jeszcze w Starym zakonie w postaci Achana z rodu Judy Joz XII 18, który przetrzymuje łupy, zdradzając solidarność wobec rozporządzeń dowództwa. Hebrejską tradycją odpowiadającą drugiej postaci Wodnika mogłaby być postać Reubena, syna Jakóba, która jednak nie rozwinęła się w wątek bogaty. Przysłoniła ją postać Oannesa — babilońskiego boga, która przerodziła się w Johannaesa, czyli Jana Chrzciciela. „Cała charakterystyka babilońskiego Oannesa, podana przez Berososa zgadza się w najważniejszych zarysach z charakterystyką Jana. Więc zanurzenie się w wodzie, wstrzeżliwość, nauczanie ludzi. Różnice mogą już tylko zachodzić

co do szczegółów towarzyszących zanurzeniu się w wodzie, wstrzeźmieliwości, nauczaniu ludzi. Ale te różnice pouczają nas tylko, która odmiana prototypu jest wcześniejsza, a która późniejsza. Oannes zjawia się w Babilonii, jako rzecznik kultury wogóle, Jan zaś w Palestynie, jako rzecznik kultury moralnej". (Andrzej Niemojewski, *Bóg Jezus* 1909, str. 214—215). Mojem zdaniem, choćby nawet różnice były jak największe, to w mitologii zdarzają się przejęcia nie tylko całych wątków, ale także ich części, niekiedy zaś tylko imion. Pomimo różnic są między Johananiem, a Oannesem pewne cechy wspólne, słusznie zauważone przez Andrzeja Niemojewskiego. Co do nazwy samej, to choćby były trudności etymologiczne w wyprowadzeniu Johanana od Oannes, nie należy zapominać, iż przy przechodzeniu nazw od jednego narodu do drugiego, nazwy ulegają upodobnieniom do znanych wyrazów w języku narodu, który je przejmuje. Tak np. Melkart przeradza się w Zeusa Melikertesa, Morduk w Mordocheusza, fenicka Hanna w rzymską Annę (rzekomo od annus — rok).

Postać Jana Chrzciciela Mk. I. 6 przypomina pewnemi rysami Eljasza „męża kosmatego i pasem skórzanym na biodrach opasanego" z II. Ks I. 8, oraz strojem, strój pokutny proroków odzianych w płaszcz kosmaty Zach XIII 4. Głos z nieba u Mk. I. 11 wzięty jest z Psalmu II. 7: „Wygłaszam ten wyrok: Jahwe rzekł do mnie: „Tyś mój syn, jam cię dziś świata wydał", gdzie odnosi się do Dawida, który jako król izraelski jest synem Jahwy i zastępcą jego rządów nad pierwotnym jego ludem — i z Jez XL III. i: „Oto sługa mój, wspieram go, wybraniec mój, którego upodobała sobie dusza moja; złożyłem na nim ducha mego, prawo narodom roznieść", — gdzie odnosi się do wielkiego, dziejowego posłannictwa idealnego sługi bożego, czyli ludu izraelskiego. Ma się on stać prorokiem narodów.

Okres ten dał podstawę do astrologematu narodzenia Jezusa, który pierwszy raz, podczas rewolucji francuskiej odtworzył Dupuis. Gdy o północy niewidzialne słońce znajduje się w najniższym punkcie pod horyzontem, wtedy na wschodzie wyłoni się Panna, dając podstawę astrologematowi wyżej opisanemu o dwóch rodzinach przeciwstawnych, Józefa i Marji, oraz Zacharjasza i Elżbiety. Z pierwszej rodzi się Jezus, z drugiej Jan. Jezus przejmuje na siebie tradycje rodu królewskiego Judy, z którego wywodził się król Dawid Mt I. 2, Łk III. 34, 26, co miało tradycję sięgającą do Genesis XLIX 10: „nie będzie odjęte berło od Judy". Ap V. 5 „lew z pokolenia Judy, korzeń (potomek) Dawidów". List Pawła do żydów VII. 14: „Albowiem jawne jest, iż z Judy poszedł Pan nasz". Jezus sam to wyraźnie oświadcza w Ap. XXII 16: „Ja Jezus posłałem anioła mego, aby to wam świadczył w kościołach: jam jest korzeń i naród Dawidów..." Jest to ten sam gwiazdozbiór zdrajcy Judasza, ale każdy gwiazdozbiór miał wielorakie znaczenie; tutaj znaczenie królewskiego rodu.

Ponieważ Dawid urodził się w Bethlehemie, przeto przysłego władcę, ktokolwiekby nim być miał, należałoby wyprrowadzić z tej miejscowości, już tak raz przez narodzenie królewskie uświetnionej. Dlatego prorok Micheasz przepowiada jej tak wielką przyszłość a za nim idzie Mateusz II 6., który powołuje się na Micheasza V.2: „A ty Bethlehem (w okręgu) Efrata, najmniejsze z pośród osad judzkich! Z ciebie właśnie wyjdzie dla mnie przyszły władca Izraela“. Ewangelja Mateusza II. 6 nie przytacza te słowa dosłownie, lecz omownie (paraphrasis); chodzi mu o liczbę mieszkańców. Cylikow przytacza Mich V. 1: „Ty wszakże Beth-lehemie Efrata, aczkolwiek drobnem jesteś w rzędzie powiatów judzkich, z ciebie jednak wynijdzie mi ten, który ma władcą zostać w Izraelu, a którego pochodzenie od przeszłości, od dni starodawnych“ — Bethlehem było miastem rodzinnem Dawida w Judei. Dodawano Efrat albo w formie pełniejszej Efrata „żyzność“ dla odróżnienia od innej miejscowości podobnej w udziale zebulona. Joz XIX. 15. Rozdział V. tego proroctwa łączy się ściśle z rozdziałem poprzednim i maluje szczęśliwy czas, kiedy na tronie izraelskim zasiądzie potomek starego rodu Dawida, którego imię w dalekich krajach zasłynie, budząc wszędzie szacunek i uznanie. Samą osobą swoją utrwali on pokój i pomyślność. Nawet tak potężne mocarstwo, jak Asyria, nie odważy się nadal walki z Judeą wszczynać, tak, że mieszkańcy jej spokojni i bezpieczni żadnych wojsk i żadnych warowni potrzebować nie będą. Zaraz w następnych wersetach mowa jest o Asyrii, zatem nie może się to odnosić do Jezusa. Dlatego proroctwo Micheasza musiało się „sprawdzić“ na Jezusie, bo tak wystylizowano jego narodziny.

Z innych tradycji należących do epoki Baranka ważną jest tradycja o złożeniu niemowlęcia Jezus do żłobu w Raku, co jest przeróbką wątku o narodzeniu Buddy w czwartym miesiącu, dnia ósmego. Odpowiada to ósmemu stopniowi Raka, czego analogją jest może obrzezanie niemowlęcia Jezus w ósmym dniu (Łk II. 21).

Tak więc w wątku jesusowym mamy tradycje starszej i młodszej epoki. Tradycji epoki Ryb już niema śladu, gdyż rozpoczęła się ona w epoce pełnego zwycięstwa chrześcijaństwa, kiedy ono już dawno zakrzepło w dogmaty i instytucje. W owej epoce astralistyka już się dawno skończyła.

Owe dwie tradycje epoki Cielca i Baranka płaczą się z sobą jak w kościołach dzisiejszych tradycja oświecenia ich świecami z nowoczesnem oświeceniem elektrycznem, które mogłoby tamto dawno zastąpić i wyrugować, gdyby nie tradycja zbyt swymi wpływami przemożna. Owo płatanie się tych tradycji widzimy w Apokalipsie. Czytamy w rozdziale IV. 7: „A zwierzę pierwsze podobne lwowi, a wtóre zwierzę podobne cielcowi, a trzecie zwierzę mające oblicze jako człowieka, a czwarte zwierzę podobne orłowi latającemu“, co odnosi się do gwiazdozbiorów Lwa, Cielca, Wodnika, Niedź-

wiadka współschodzącego z Orłem, a według Wiesława Ste-na dwa ostatnie „zwierzęta” do Niedźwiadka (człowieko-niedź-wiadka) i Wodnika z Orłem (na północ od niego). W roz-dziale V. 5 czytamy: „Oto zwyciężył lew z pokolenia Judy”, a potem w wersecie 6: „i widziałem: a oto w pośrodku sto-licy i czworga zwierząt i w pośrodku starszych baranek stojący jako zabity”. Odbywa się adarocja Baranka. Ap V. 8, XIV. 1 — 5.

(d. c. n.)

St. Asté

Odpowiedzi redakcji

O TOWIANIZMIE I TOWIAŃSKIM

Ob. Kaz. R. O towianizmie, uchodzącym za najsamo-rodniejszy poza arjanizmem przejaw życia religijnego w Pol-sce, nie zabieraliśmy dotąd głosu, a to z tego samego powodu, dla którego nie zajmowaliśmy się dotąd ekstatykami i zboczeń-cami umysłowymi, czyli t. zw. „świętymi”. Uważamy, że nie należy dolewać benzyny do ognia, który chce się gasić. Co inne-go arjanizm. Arjanizm polski stworzyli ludzie Odrodzenia którzy zerwali ze średniowiecznem w momencie zaatakowania przez nich dogmatów kościelnych. Wywołało to, jak wiemy, ruch etyczno-rewizjonistyczny, zwany Reformacją, która oderwa-ła od papieżstwa pół Europy. Arjanizm stanowił trzeci etap tego procesu rewizjonistycznego. Pierwszym etapem był lu-teranizm, a drugim kalwinizm. Arjanie bowiem poszli jeszcze dalej, niż luteranie i kalwińscy w uzgadnianiu z rozumem dog-matów kościelnych. Odrzucili oni, jak wiemy, pojęcie trójcy, synostwo boże, bóstwo Jezusa, zmartwychwstanie, nie bredzi-li o duchach i aniołach. A towianizm? Towianizm pod tym względem ani się umywał do arjanizmu. Był chorobliwym zboczeniem umysłowym, które się krzewiło na emigracji dzieł-ki specjalnej popowstaniowej psychozie wśród katolickich śle-powierców, lekko zrażonych do Rzymu za potępienie powsta-nia listopadowego i za wyklęcie Napoleona, który był bo-żyszczem ówczesnych niepodległościowców i wojskowych pol-skich. Tylko prawami tej psychozy powstaniowej można wy-tłumaczyć fakt przyłączenia się do bredni takiego pomyślnika, jak Towiański, takich jak Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński i inni. Wprawdzie odpadli oni w końcu od towianizmu, ale przez parę lat byli jego gorliwymi wyznawcami.

Towianizm miał w kraju trochę zwolenników. Np. nale-żeli do nich rejentostwo Noskowsy w Warszawie, dziadkowie po kądzieli Andrzeja Niemojewskiego, pierwsze-go bojowego ateusza polskiego, oraz jego rodzice, a zwłaszcza ojciec, Feliks Niemojewski, który pod wpływem dobrego obchodzenia się Towiańskiego z swymi chłopami

w Antoszwiniu na Litwie, przyjął entuzjastycznie ukaz carski o uwłaszczeniu chłopów, co mu okoliczni sąsiedzi wzięli za złe i atakowali go w prasie. Mamy w naszej tece redakcyjnej szkic prof. Marjana Wawrzeńckiego, dotyczący tej sprawy, który zamieścimy w jednym z najbliższych nr-ów W. P. Rejent Noskowski, ojciec muzyka Zygmunta Noskowskiego, właściwie przez szereg lat utrzymywał „mistrza“ *) w Zurychu, a jego żona i zięć, Feliks Niemojewski jeździli go odwiedzać co pewien czas. W pismach Towiańskiego zachował się nawet ślad rozmowy „mistrza“ z Feliksem Niemojewskim w kwestji włościańskiej z r. 1866. Feliks Niemojewski przez kult dla „mistrza“ Andrzeja, dał właśnie swemu synowi imię Andrzej. Syn ten, wzrósł jak wiadomo w atmosferze przesiąkniętej miazmatami mistycyzmu, nie wniósł w życie najmniejszego śladu tej choroby emigracyjnej, lecz był pod względem jasności i ścisłości myślenia pozytywistą w każdym celu.

Jeżeli t. zw. religijność będziemy uważali za objaw niedorozwoju umysłowego, („Kto wierzy—nie wie“) za jeden ze stanów umysłu, który nie przezwyciężył magiczno-mistycznego stosunku do świata i ujmuje go wyłącznie animistycznie i antropomorficznie, to towianizm musimy uważać za jedną z dziczek tego pnia. Diczka ta odcina się bardzo wyraźnie od całości przerostem spirytualistycznej spekulacji, mającej stanowić teoretyczne uzasadnienie ściśle określonej działalności praktycznej: udoskonalenia ludzi. Ale niestety, wskutek analfabetyzmu filozoficznego i pedagogicznego pana Andrzeja, ani ta teoria, ani ta praktyka nie trzyma się kupy, jest stekiem bredni, jest tworem człowieka pomyłonego, który właściwie niczego dobrze nie wiedział, bo nawet „pisma św.“, na które się często powoływał, musiał nie czytać.

Towianizm był w gruncie rzeczy ruchem etycznym, chcącym odrodzić człowieka, lecz środki, jakie miały do tego celu doprowadzić (modlitwa, dewocja, posty, komunje, rozmyślanie, ekstazy, łaska boża...) były z gruntu fałszywe i dostatecznie skompromitowane. Towiański, miał niewątpliwie dobre chęci, lecz nie dorósł do swej misji.

Jako stuprocentowy dewot katolicki, człowiek o małej inteligencji, a nadmiernem mniemaniu o swem posłannictwie, rozczytujący się w mistykach podrzędniejszego gatunku bez przeżywania ich chorobliwych stanów „duchowych“, chciał ulepszyć chrześcijaństwo, jako metodę wychowawczą, a zabrnął w tak nieprawdopodobne dziwactwa, że ich inaczej jak obłędem lub manjactwem nazwać nie można. Nie brak również w towianizmie i objawów szarlatanerii i erotomanji.

*) Epitet „mistrza“ nadał Towiańskiemu Mickiewicz na jednym z publicznych zebrań zawiązującego się Koła towiańczyków w Paryżu w kwietniu 1842. Przeciwno temu epitetowi, mistrz wcale nie oponował. Przeciwnie, był z tego zadowolony. Pisma t. III str. 530; w wydawnictwie Biblioteki narodowej str. 169.

Rzecz jasna, że bez romantycznej pogardy dla „mędrca szkiełka i oka“, bez heglizmu, utrzymującego, że wszystko z ducha pochodzi i w duchu się przetwarza, bez emigracyjnych mesjanistycznych bałamuctw, każących wierzyć biednym rozbitkom powstania listopadowego w jakieś specjalne pośłannictwo Polski, co ich narkotyzowało, ale jak każda narkoza, odbierało im resztki zdrowego sensu i orjentacji, „nauka“ Towiańskiego nie byłaby właściwie wyszła po za samego „mistrza“, a nawet wątpliwą jest rzeczą, czy podobna idea byłaby wogóle zrodziła się w jego ciasnym, ograniczonym mózgu.

Dopiero przystąpienie do towianizmu Mickiewicza, jako autora „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego“, a następnie Słowackiego, nadało towianizmowi rozgłos i przysporzyło mu adeptów no i zaciętych przeciwników (Kraśiński). Towiański dobrze zdawał sobie sprawę z tego, komu zawdzięcza powodzenie i dlatego podsunął Mickiewiczowi „siostrę“ Deyblównę (zob. W. P. Nr. 15 z 1929 r. „Mandolinistki towianizmu“ i Boya-Żeleńskiego „Bronzownicy“), aby starała się wpływać na Mickiewicza, by nie porzucał „koła“. Ponieważ Towiańskiego jako głosiciela „sprawy bożej“ sprawa narodowa nie obchodziła, a Mickiewicza obchodziła stale — zerwanie stało się nieuniknione i wkońcu doszło do skutku pomimo dziecka, jakie Mickiewicz miał z Deyblówną. Po wystąpieniu Mickiewicza z „koła“ towianizm zaczął tracić zwolenników i wkońcu umarł naturalną śmiercią*) na wiele lat przed śmiercią swego założyciela.

Andrzej Towiański urodził się w Antoszwiniu 1 stycznia 1799 r. Od najmłodszych lat był przeczułony i b. religijny. Szkołę średnią ukończył w Wilnie, poczem zapisał się na prawo. Na uniwersytecie kolegował z Mickiewiczem. Nie ukończywszy studjów uniwersyteckich, został rejentem ziemskim w Wilnie, później asesorem sądowym. Na stanowisku tem pozostał do powstania listopadowego. Jako urzędnik odznaczał się wielką gorliwością. Do filaretów nie należał. W ruchu powstańczym udziału nie brał „nie chcąc uprzedzać wyroków bożych“. Po powstaniu stracił urząd i wyjechał do Petersburga, w jakim celu? niewiadomo.**). Poczem osiadł na wsi w Antoszwiniu, spędzając czas na rozmyśleniach i na pracy około etycznego podniesienia włościan. Wybudował dla nich kaplicę i miewał do nich kazania. Po tych wystęпах postanowił zostać „apostolem“. Pod wpływem tej monoidei zaczął miewać „objawienia“. W ostatnich dniach lipca 1840 r. wyjechał prostym wozem zagranicę, zostawiwszy do-

*) Towianizm miał również i własne obrzędy (liturgję), posty „nowej epoki“, a nawet „sakramenty“: chrztu, pokuty, małżeństwa, komunji. Głównym inicjatorem tych „sakramentów“ był Mickiewicz, jako przewodniczący koła paryskiego.

**) To naprowadziło na myśl, że był przez rząd rosyjski umyślnie wysłany zagranicę, aby zaostreżać „potępięcze swary“ wśród emigrantów.

brze zagospodarowany ojcowski majątek na zmarnowanie, a 5-rocnieletnich dzieci na „łascie bożej“, ale zato z gotową teorią religijno-moralną. Bawił kolejno w Poznaniu, w Dreźnie, w Brukseli, w Anglii, w Paryżu, szukając wszędzie zwolenników dla swojej idei. Do Paryża przybył w dniach pogrzebu Napoleona I (15.XII, 1840), poczem wrócił do Belgji, do jen. Skrzyneckiego, b. pobożnego obzartucha, który jako wódz w powstaniu listopadowem dbał głównie o to, gdzie będzie jadł obiad, a gdzie wieczerzę, no i to także, co o nim piszą francuskie gazety, a jego genialny sztabowiec, Prądzyński, wystawać musiał pod drzwiami z planami, na które „wódz“ nie zwracał uwagi. Ze Skrzyneckim wódz Towiański odbył wycieczkę do Waterloo, celem znalezienia wewnętrznego kontaktu z duchem Napoleona. Zamieszkali nawet w gospodzie, w której Napoleon nocował przed bitwą. Tu Towiański wyłożył Skrzyneckiemu treść swej „nauki“ i cel przybycia do Francji. Wyłożył to najpierw ustnie, a później w piśmie, które nazwał „Biesiadą z gen. Skrzyneckim 17 stycznia 1841 r.“. Jest to najważniejsze dzieło Towiańskiego, które Mickiewicz komentował później w kolegium francuskiem i co Mickiewicz, jako profesora, tylko ośmieszyło. Towiański powiada, że treść „Biesiady“ została mu „objawiona przez boga“. Wg. tego, „objawienia“ całą ziemię pokrywają „kolumny duchów“. Ciężar gatunkowy tych duchów jest różny: złe są cięższe i dotykają bezpośrednio ziemi, cisnąc na jej powierzchnię i na człowieka. Dobre zaś, czyli lekkie, unoszą się ponad ziemią. Ziemia jest padołem, bo ją cisną duchy złe. Ale bóg przez zesłanie swego syna, chrystusa Jezusa „z Górnych Swych Przybytków“ (więc ma przybytek, uw. n.) te złe duchy pokonał w pewnej mierze i otworzył ludziom drogę do nieba. Aby więc zdobyć doskonałość moralną, trzeba przepychać się przez tę drogę ku duchom lżejszym i Harmonji Niebieskiej. W przepychaniu się ku tej Harmonji, niezbędna jest „łaska boża“, bo bez boga człowiek nic nie może. Wolność woli Towiański właściwie znosi, bo powiada o niej tak: „Człowiek ma wolę, ale ona jest częścią nieskończonej małą jego czynności. Stawi bóg często człowieka, jako wolnego, wszystko mu ułatwia, zastępcy światłości i ciemności ustępują i czekają na kierunek, jaki człowiek, sam sobie zostawiony, zupełnie wolny, dać musi—a po zrobionym kierunku na światło lub ciemno, kolumny światłości lub ciemności mocą prawa harmonji tego prawa Najwyższego, zalegają wewnątrz człowieka i podług swej natury rządzą nim. Wielkie dobrowolne zasępienie duszy rodzi ten fatalny skutek, że na długo ciemna kolumna zalega duszę człowieka i tak, podług słów objawienia, oddany jest pod moc Złego“ („Biesiada“).

Jest to zarazem próbka jego rozumowania i stylu.

Podobną „dziurę“ w kolumnie złych duchów, jaką zrobił chrystus, zrobił również i duch samego Towiańskiego. Nazwał ją dosłownie „otworem“, czyli czemś w rodzaju komina,

przez który mogą się przeciskać doskonalące się duchy, „siła niewidzialna boska widzialnie ma się ziemi objawić“. Chrystusa nazywa „pierwszym po bogu działaczem“, „sprawy bożej“. Wynika z tego, że mu odmawia boskości. Chrystus, jako działacz sprawy, którą Towiański głosi, nigdy ziemi nie opuszcza. Chrystus umieszcza w tej samej kolumnie herubimów (tak ich pisze) i duchów, której on, Towiański, stanowi stopień ostatni. W tej samej kolumnie figuruje również i duch Napoleona. Sąsiaduje on z duchem Towiańskiego, a ma na celu opiekowanie się Francją.

Zadaniem duchów jest doskonalenie się. Udoskonalić mogą się duchy tylko w ciele (co dowodzi, że poza ciałem nie istnieją). Jest to trudne, bo duch ludzki ciąży ku duchom ziemskim, czyli złym. Trzeba więc człowiekowi łaski, łaski i jeszcze raz łaski. Dla tego powinien uciekać się stale do „Kolumny Światła, złożonej ze Świętych Pańskich, na której szczycie znajduje się sam Bóg“.

I tak dalej w ten sposób.

W lipcu 1841 r. przybył Towiański do Paryża i tu zetknął się z Mickiewiczem, którego sobie zjednał przez wyzdrowienie mu żony. W Paryżu Towiański urządził w Notre dame parę publicznych konferencji, na których głosił, iż przyszedł ożywić i podnieść chrześcijaństwo i oznajmić światu przyjście nowej ery. Przepowiedział upadek kościoła, przyjście chrystusa — żebraka, (a więc ani króla, ani robotnika), przyszłość słowiańszczyzny i napoleonidów. O Polsce nie wspomniał ani słowa. Następnie razem z Mickiewiczem zaczął formować „zastęp pański duchów czystych“. „Zastęp“ ten sformowano ostatecznie w maju 1842. W ten sposób powstało „Koło“ paryskie, które pod przewodnictwem Mickiewicza zaczęło odbywać regularne posiedzenia. Po paru miesiącach tych posiedzeń władze francuskie wydały Towiańskiego z granic Francji. Wyjechał najpierw do Brukseli, potem do Rzymu (po sankcję papieską), skąd wydany przez policję papieską, udał się do Szwajcarii. Tu przemieszkał (w Solurze) parę lat, otoczony swemi zwolennikami. W r. 1848 przybył do Paryża, gdzie został uwięziony. Odzyskawszy wolność za staraniem wpływowych rodaków, powrócił do Zurychu i tu mieszkał do samej śmierci, t. j. do 13 maja 1878 r. czyli przez lat prawie 30.

Towiański polityką się nie zajmował. Dlatego sprawą Polski, jako zagadnienie natury politycznej wcale go nie interesowało. Pozwolił on wprowadzić kilku swoim zwolennikom wziąć udział w powstaniu styczniowym, ale tylko po to, aby głosili „sprawę“ i zjednywali mu wyznawców.

Pisma Towiańskiego wyszły poraz pierwszy w Turynie w 3 tomach w 1882 r. Wybór tych pism wyszedł przed pięćdziesięcioma laty u Mortkowicza w Warszawie (w 2 tom.) i w Bibliotece narodowej w Krakowie.

*Jeneralna „kontrola“
- wydawnictw*



*...dla możliwości oglądania „porno-
grafji“...*

K r o n i k a

„NIEBYWAŁY“... „NIESŁYCHANY“... „NIEPRAWDOPODOBNY“.

Oto najczęściej używane przez prasę prawicowo-kleryczną epipety, jakimi prasa ta opatruje od pewnego czasu omawianie wypadków z życia dzisiejszej Polski w odniesieniu do kleru. Epitety te mają wyrażać z jednej strony oburzenie, z drugiej zdziwienie, a z trzeciej przerażenie na myśl, co to będzie, jeżeli tak dalej będzie. Ta zuchwała wyświecana banda okpiświatów, przemawiających do ciemnych głupich ludzi w imię zaświatów, tak przywykła w Polsce do tego, że nikt jej nigdy nie krytykował, nie tykał, nie krępował w samowoli, a przeciwnie każdy ją adorował, wenerował i honorował, padał płakiem przed nią, sadzał na pierwszym miejscu i omijał ze strachu, aby się jakieś zło stąd nie przypętało (bo z czarownikiem lepiej nie zaczynać), że gdy dziś trochę się te stosunki zmieniły i idą ku lepszemu dla Polski, a ku gorszemu dla kleru—banda ta jak i jej prasa jest oburzona, zdziwiona i przerażona. Przedewszystkiem przerażona, bo na złodzieju zawsze czapka gore. Mimo to demaskowany oszust choć jest mocno zdenerwowany, nie daje poznać po sobie, i nadrabia miną, jakby nigdy nic nie zaszło. Dlatego choć wie, że i w Polsce różnie bywało, udaje, że to nic. Bo co tam kto w Polsce może o czym wiedzieć, skoro podręczniki do historii są odpowiednio spreparowane w imię celu, który uświęca środki.

Np. kler zagrożony w swych dochodach przez projekt ustawy małżeńskiej, wszczyna w całym kraju coś w rodzaju rebelji, łże, kłamie, buntuje ciemne baby, zapluwa się od pasji, zbiera protesty, grozi państwu, chce całą sprawę utopić w powodzi ambonowego kłamstwa. Ktoś, kto chciał położyć

kres temu napadowi wściekliwości i szału, wygłasza spokojny obiektywny odczyt przez radio o projekcie tego prawa. Odczyt otrzymuje natychmiast epitet „niesłyszany“.

Biskup łomżyński obraża władze państwowe. Władze te, zamiast zuchwalcą wsadzić do więzienia lub odesłać papieżowi, ignorują go, udają, że go nie widzą. Trzy endeckie pisma warszawskie, a piętnaście poznańsko pomorskich zachłystuje się epitetem „niebyswałe“!

Ostatnio jeden z dyrektorów gimnazjalnych (w Olkuszu) nie wpuścił katechety do szkoły—bo miał ku temu powody—korfantowska katowiczerka, zwana „Polonją“, krzyczy „nieprawdopodobne“!.. i t. d.

Ano, dziwcie się, oburzajcie i przerażajcie. To, co było, już nie wróci. Z tem się liczcie. Może być tylko dla was gorzej, a nigdy już lepiej. Nawet emocjonujące przymiotniki nic wam nie pomogą.

REBELJA KS. WRYCZY

Ks. Wrycza, proboszcz w Wielu, pow. chojnickiego na Pomorzu, b. obożny Obwiepolu, niezadowolony z kierownika miejscowej szkoły i nauczycielki, jako z ludzi o innych, niż ks. Wrycza, przekonaniach politycznych, zwołał specjalne zebranie rodziców i zbuntował ich, aby dopóty nie posyłali swoich dzieci do szkoły, dopóki dyrektor i nauczycielka nie zostaną odwołani. No i strajk trwa, bo w b. zaborze pruskim dzieci mają 4 godziny „religii“ tygodniowo, więc i ksiądz ma większy posłuch. Zaczął się ten strajk w początkach grudnia i do feryj świątecznych nie ustał. Sprawą zajął się prokurator, który polecił aresztować kilku co gorliwszych pomocników ks. Wryczy, ale sam główny wicherzyciel pozostaje na wolności, bo ma kółko papieskie na łbie. Pewnie order w końcu dostanie. Chcielibyśmy wiedzieć, co by z nim zrobili hitlerowcy, a nawet faszyci, nie mówiąc o bolszewikach.

I dziwić się, że w społeczeństwie coraz mocniej utrwala się przekonanie, że kres rządów kleszym w Polsce tylko przewrót może położyć.

JESZYBOT LUBELSKI CHCE BYĆ UNIWERSYTETEM

Wyższa szkoła talmudyczna w Lublinie (t. zw. jeszybot), widząc, że wyższa szkoła katechizmowa, zwana uniwersytetem katolickim w Lublinie, otrzymała prawa szkół akademickich, wszczęła starania o przyznanie jej tych samych praw. I słusznie: czyż stary zakon ma być gorszy od nowego, zwłaszcza że stanowią one jedną całość? „One się nawet razem drukują“, jak powiada jeden z bohaterów w „Polki w Ameryce“ St. Koźłowskiego. A że tu głupstw uczą, i tu głupstw uczą, to czyż tych samych głupstw nie uczą na wydziałach teologicznych we wszystkich niemal państwowych uniwersytetach polskich?

Naszem zdaniem: słusznym żądaniom jeszybotu powinno stać się zadość.

JESZCZE O WIĘŹNIACH

W związku z artykułem w n-rze 43 W. P. pod tyt. „Czy istnieją więźniowie polityczni?“, otrzymujemy od zainteresowanej, obecnie już wolnej, osoby wyjaśnienie, że wszystkie kierowane do niej listy prywatne nosiły w adresie dopisek „więzień polityczny“. Listy takie dochodziły i nikogo nie raziły — aż do czasu nadejścia do kancelarii więziennej naszego pisma, czego podkomisarz straży więziennej nie mógł połknąć i zamasyście skreślił, że w więzieniu nie ma więźniów politycznych.

Wobec tego, że wypadki takie mnożą się, a my podobnego stanu rzeczy nie ścierpimy, przedsięwzięmy odpowiednie kroki, aby urzędników więziennych pouczono, iż czytanie naszych pism posiada stokroć więcej praw obywatelstwa, aniżeli obcych duchowi polskiemu wydawnictw klerykalnych, tembardziej, gdy o to czytanie dopominają się sami więźniowie.

KŁAMLIWE INFORMACJE GAZ. WARSZAWSKIEJ

W jednym z n-rów po t. zw. bożem narodzeniu Gaz. Warsz. rozniosła światu radosną, choć o 2 tygodnie spóźnioną wieść, że pewni rycerze całkowicie zdemolowali urządzenie lokalu koła łódzkiego P. Z. M. W., będąc „oburzeni“ treścią odczytu d-ra Z. Mierzyńskiego na temat pochodzenia obchodu przez chrześcijan owego „narodzenia“.

W rzeczywistości owych kilku „słuchaczy“ niemal przemocą wdarło się na salę, porozrzucało jakieś epruwetki, na pełnione ciecżą, widocznie jakiś marny fabrykat akcji katolickiej, bowiem żadnych skutków za sobą nie pociągnęły. Gdy w pewnym z góry ukartowanym momencie „bohaterowie“ rozpoczęli okrzyki, wyrzucono ich z sali, jak się to zazwyczaj czyni z intruzami, a z urządzenia lokalu ucierpiało jedno krzesło, rozbite o karki napastników. Szkoda krzesła, bowiem posiadało większą wartość od twardych głów endeckich łobuzów, którzy łącznie ze swymi przywódcami nie dorośli do zrozumienia naukowego odczytu. — Swoją drogą trzeba posiadać endecką czelność, aby posyłać z cuchnącym płynem kilku osobników z pod ciemnej gwiazdy na związkowe, a więc niepubliczne, zebranie wolnych myślicieli, tam ich narażać na lanie ze strony obecnych, a w końcu wyrażać „oburzenie“ z powodu tematu odczytu.

Lepiej było o tem grzaniu zamilczeć, tak jak o całej sprawie Koło nie zakomunikowało nawet policji, bo kto będzie się interesował wyczynami paru durniów...

COŚ DLA PROF. FRAZERA

Prof. J. G. Frazer, znany folklorysta angielski, autor wspańiałej pracy o wierzeniach, czyli głupocie ludzi żyjących jednocześnie z nami i obok nas p. t. „Złota gałąź“ oraz studjum o pochodzeniu władzy królewskiej p. t. „Czarownik-kapitan-król“,

mówiąc w tej ostatniej pracy o traktowaniu fetyszów przez fetyszystów, gdy fetysz nie spełni fetyszyście wszystkich jego życzeń, wspomina na str. 66 i 67 o pogromie, jaki sycyliłczycy urządzili w r. 1893, (czyli przed 40-laty) swoim świętym, iż nie sprowadzili w porę deszczu. Świętych tych najpierw katolickcy fetyszyści prosili, błagali, biczowali się przed nimi dla wzbudzenia w nich litości i sprawienia im przyjemności, zakupywali msze, urządzali im koncerty, nawet sztuczne ognie, aby tylko święci ci położyli kres posusze, niszczącej ogrody i winnice. Gdy to jednak wszystko nie pomagało, zniecierpliwieni wieśniacy powyrzucali z kościołów figury świętych i wygnali ich z wyspy.

„W Palermo — pisze prof. Frazer — porzucono św. Józefa w ogrodzie, aby na własne oczy ujrzał stan rzeczy, i zaprzysiężono, że będzie tam pozostawiony na słońcu, dopóki nie spadnie deszcz. Innych świętych odwrócono twarzą do muru, jak niesforne, krnąbrne dzieci. Innych znów, zerwawszy z nich piękne stroje, wypędzono z parafji, obsypano pogróżkami i ordynarnemi obelgami, pogrążono w sadzawkach, w których pojono konie. W Caltanissetta zerwano złote skrzydła z ramion Michała Archanioła i zastąpiono je tekturowemi; zdjęto jego płaszcz purpurowy i okryto go szmatą. W Licata św. Angelo, patron miejscowy, doznał nawet bardziej przykrych zmian losu, pozbawiono go bowiem zupełnie odzieży, zelżono go, skuto łańcuchami, zagrożono szubienicą lub utopieniem. „Deszcz lub powrót!” wrzeszczał doń rozwścieczony tłum, przyskakując mu do oczu z zaciśniętymi pięściami“ (zob. również W. P. z 1930 r. Nr. 7).

Dzicy ludzie, powie sobie nieuprzedzony czytelnik. Ale ci wierzący po katolicku antropomorfiści byli dzikusami nie wtedy dopiero, gdy swoim świętym i patronom sprawili lanie, lecz od chwili, gdy w nich uwierzyli, jako w przynoszących szczęście fetyszów i w możnych demonów.

Ten sycylijski pogrom katolicki fetyszów i demonów prof. Frazer zacytował bezpośrednio po opisie podobnych pogromów, urządzanych przez dzikie plemiona Afryki i Polinezji swoim „świętym patronom“, gdy im nie sprowadzą deszczu. Chciał przez to podkreślić, że pewien stan umysłowy, na którym jeszcze utrzymuje się wiara religijna, jest jeden i ten sam pod każdą długością i szerokością geograficzną i że to prawo psychiczne przejawia się wszędzie w podobnych formach. Na dowód, że tak jest, pozwalamy sobie podać za prasą warszawską następujący „sposób na świętych“:

Gdynia 30. XI. Na całym wybrzeżu polskiem opowiadają sobie kapitalne zdarzenie, jakie trafiło się żonie rybaka kaszuba na półwyspie Helskim. Przed paroma tygodniami rybakowi temu skradziono z wędzarni 3 centnary węgorzy. Była to dotkliwa strata dla biednych rybaków, gdyż wartość skradzionych ryb wynosiła przeszło 1000 złotych.

Policja natychmiast wszczęła energiczne dochodzenia, które nie dawały rezultatu. Żona rybaka, jak to jest w starodawnym zwyczaju u Kaszubów, zanosila modły do św. Antoniego, prosząc,

żeby za jego przyczyną złodzieiów wykryto i łup ich odnaleziono. Rybaczka oświadczyła wszystkim, że św. Antoniemu obiecała złożenie większej ofiary na kościół na półwyspie Helskim, jeśli złodziei będą wykryci. Niestety minęło parę dni, a złodzieiów nie wykryto. W ówczas rozżalona na św. Antoniego niewiasta oświadczyła, że ponlewaź św. Antoni prośby jej nie wysłuchał, wyniesie jego obraz z chałupy na deszcz. Istotnie zamiar swój wprowadziła w czyn. Gdy po 2-godzinnej moknieniu na deszczu obraz całkowicie przesiąknął wodą, traf chciał, że do chaty przybyła policja, z zawiadomieniem, że sprawców kradzieży węgorzy znaleziono, a łup ich odzyskano.

Rybaczka czempredzej obraz wniosła spowrotem do izby, wysuszyła go i powiesiła wśród obrazków innych świętych, gorąco przepraszając św. Antoniego za deszczową kąpiel. (Wieczór Warsz. z 30 XI. 1933 r.).

A czyto podobne wypadki są odosobnione? Piszący te słowa sam był świadkiem, jak jeden z obywateli ziemskich z kaliskiego strzelał z dubeltówki do „boga“ czyli w górę za nadmiar deszczu podczas żniw. Było to nazajutrz po zakupieniu przezeń wotywy błagalnej o pogodę.

Tego rodzaju dzikusów i białych murzynów kler katolicki ani myśli wyprowadzić z błędu, bo to pozbawiłoby go dochodu za msze o deszcz lub o pogodę. Dlatego w modlitewnikach katolickich do dziś są drukowane, za pozwoleniem cenzury kościelnej, modlitwy o deszcz i pogodę.

NOWY PODZIAŁ HISTORJI POWSZECHNEJ

Dotychczasowy podział dziejów powszechnych był taki: historia starożytna kończyła się na 476 r. czyli na upadku cesarstwa zachodniego (rzymskiego)); średniowiecze na r. 1453, czyli na upadku cesarstwa wschodniego (zdobycie Konstantynopola przez Turków); dzieje nowożytne kończyły się nar. 1788, czyli na rok przed wybuchem W. Rewolucji francuskiej; dzieje nowoczesne (obecne) zaczynały się od W. Rewolucji francuskiej. Ponieważ w naszych czasach zaszedł taki doniosły pod względem dziejowym wypadek, jak powstanie państwa socjalistycznego, wzgl. proletariackiego na 1/6 ziemskiego globu, dzieje najnowsze zacząć liczyć przyszli historycy niewątpliwie od października 1917 r. Nie brak również prób liczenia czasu od przewrotu faszystowskiego. Faszyci włoscy, którym się zdaje, że dokonali czegoś bardzo nowego, choć to tylko zwyczajna imperjalistyczna reakcja tak dobrze wszystkim znana, każdy rok kalendarzowy ery chrześcijańskiej oznaczają w swoich dokumentach, a nawet w prasie, liczbą ery faszystowskiej, pisząc np. 1934/XII.

Obecnie dowiadujemy się, że nowe polskie podręczniki szkolne do historii powszechniej przesuwają dzieje starożytne do IX wieku, czyli do wystąpienia Słowian na widowie dziejów. Wobec tego dzieje średniowiecza trzeba będzie, zgodnie z istniejącym w Polsce stanem rzeczy, przesunąć w tych podręcznikach do r. 1966, a to dlatego, że wg. poprzedniego podziału dziejów powszechnych, średniowiecze trwało prawie 1000 lat (1453 — 476 = 977). W roku zaś 1966 upłynie właśnie

tysiąc lat od przyjęcia przez Mieszka I chrztu, czyli ś r e d n i o -
wiecza, narzuconego Mieszkowi przez Niemców razem z Dąb-
rówką. I to średniowiecze dotąd trwa.

Złośliwi powiadają, że M. W. R. i O. P. ma zamiar wy-
dać zarządzenie, ustalające, że czasy nowożytnie należy liczyć
w Polsce od przewrotu majowego, i że koniec średniowiecza
należy odnieść do momentu uroczystego wkładania kapelusza
kardynalskiego mgrowi Lauriemu na zamku warszawskim.
Ale to byłoby niesłuszne — bo średniowiecze w Polsce
jeszcze trwa: konkordat, okólnik Bartla z 1927 r. i ustawa
o przymusowych składkach na kościół są najlepszym tego dowo-
dem.

NIEBEZPIECZNA BIBLIOTEKA

W dniu 1 lipca 1929 r. otwarto w Londynie bibliotekę,
zawierającą 20.000 dzieł poświęconych t. zw. „wiedzy tajem-
nej” (teozofji, okultyzmowi, spirytyzmowi i t. p.). Biblioteka
ta poszukuje obecnie klerownika, ale nikt się nie zgłasza, bo
wszyscy dotychczasowi bibliotekarze, których było jedenastu,
skończyli w domach dla obłąkanych.

„Pierwszy bibliotekarz, jak pisze IKC z 31.12.33, zacho-
rował na obłąd już w dwa miesiące po objęciu urzędowania.
Jego następca popadł w manję prześladowczą i umieszczono
go w szpitalu dla obłąkanych. Jako trzeciego bibliotekarza
zarząd zaangażował znanego profesora historii, który pewnego
dnia znikł bez śladu. Po kilku miesiącach odnaleziono go na
przedmieściu Londynu wygłodniałego i obdartego. Okazało się,
że postradał pamięć. Czwartym bibliotekarzem był syn zało-
życiela biblioteki mr. Lunn, który dzisiaj przebywa w szpitalu
dla obłąkanych i wmawia sobie, że jest nieśmiertelny. Po
nim objął posadę bibliotekarza jego kolega, który po upły-
wie trzech miesięcy uległ tak ostremu atakowi szału, że zde-
molował część biblioteki. Musiano odtransportować go w kaf-
tanie bezpieczeństwa do zakładu.

Następnych trzech bibliotekarzy uległo kolejno melan-
cholji, dwóch zaś przebywa w zakładzie dla obłąkanych, po-
nieważ jeden z nich nie sypia zupełnie i spędza całe noce
na cytowaniu głosów duchów znanych ludzi, drugi zaś wciela
się każdego miesiąca w inną postać z historii. Jedynasty
i ostatni zachorował na obłąd religijny”.

Ostrożnie więc z teozofją, czyli „wiedzą” o bogul

REDUKCJA PENSYJ W WATYKANIE

Wobec tego, że trwający obecnie „święty rok” nie przy-
niósł tyle wagonów złota, na ile biali z czarnym liczyli, po-
stanowili oni obniżyć pensję swoim urzędnikom. Czarny to
już zrobił, a biały robi teraz. Preliminarz budżetowy imprezy
świętorocznej z okazji „1900-lecia odkupienia” przewidywał
w dochodach: 5.000.000 pątników po 1000 lirów średnio każdy,
czyli pięć miliardów lirów. Stąd na każdy kolor przypadałoby

po dwa i pół miljarda lirów. W rzeczywistości na taki napływ naiwnych trudno jest dziś liczyć. Stąd redukcje, które mają objąć nawet pensje kardynałów, pobierających po 100.000 lirów rocznie (zł. 48000), nie licząc innych beneficjów.

N. b. W Polsce inaczej: zmniejszono pensje niższym grupom, a dołożono najwyższym dostojnikom poczynając od premiera.

JAK p. GĄSIOR FAŁSZOWAŁ DRZEWO GENEALOGICZNE 12-TU POKOLEŃ IZRAELA

Córka p. Gleichgewichta, intendenta cmentarza żydowskiego w Warszawie, rozwódka, zakochała się w pewnym przystojnym i zamożnym łodzianinie. Trafiła jednak nieszczęśliwie, bo nowy przedmiot jej miłości wywodził się z pokolenia Lewi, posiadającego jak wiadomo monopol na „kadzenie w świątyni”. Prawo zaś małżeńskie żydowskie zabrania żenić się lewitom z rozwódkami. P. Gleichgewicht, nie mogąc znieść rozpacz swjej córki, udał się do pedela synagogi na Tłomackiem, p. Gąsiora po radę. Ten za niewielką stosunkowo opłatą podjął się wywieść ród przystojnego łodzianina z innego pokolenia. I wywiódł. Zakochani pobrali się. Niedługo wszakże trwało ich szczęście, bo rzecz się wydała: małżeństwo zostało unieważnione, a p. Gąsior zawieszony w urzędowaniu i pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

Gdyby istniały w Polsce śluby cywilne, małżeństwo byłoby wobec państwa ważne, a p. Gąsior nie potrzebowałby odsiadywać kary za fałszowanie genealogji przystojnego łodzianina.

PO MOJŻESZOWEMU

Manel Glidman, zam. w Sosnowcu, zjawił się u miejscowego rabina w tow. dwóch świadków i oświadczył, iż wziął ślub uliczny z p. Ryfką M. przez włożenie jej obrączki na palec i wypowiedzenie rytuałem przepisanych słów: „Bądź mi zaślubioną według prawa Mojżesza”. Pomimo, że ta forma jest ważna w/g. religji żydowskiej, panna M. nie dała za wygraną i wniosła skargę o unieważnienie podstępnego ślubu. Sąd rabinacki ślub rozwiązał, a sąd grodzki w Sosnowcu skazał pomysłowego p. Glidmana na 6 tygodni więzienia.

Z MEKSYKU

Po'czas ostatniego zjazdu delegatów partji narodowej celem wyboru kandydata na prezydenta republiki, postanowiono wystąpić przeciwko wszystkim bez wyjątku religjom, ponieważ oszukują one ludzi wierzących, a księża poto tylko podtrzymują wiarę w nieistniejącego boga, aby mogli łupić z wiernych skórę. Na sali rozlegały się razporaz okrzyki: „Precz z kościołami! Precz z bogami sprytnie wymyślonymi!”

Hasło walki z religją rzucił pierwszy delegat z Tabasco, Arnulfo Perez. W mowie swojej oświadczył on, że księża są nieszczęściem każdego narodu. Są to pasorzyty, których każdy zdrowy organizm państwowy nie powinien na sobie ścierpieć. Mydłem, które ten brud ruchomy może zmyć z ciała republiki, to walka z bałamutną ideą boga, która się pełni w ciemnych ludzkich mózgach. Skończyć z t. zw. bogiem, którego naród meksykański wcale nie potrzebuje, to skończyć z klerem.

W związku z tem zjazd wypowiedział się również za zmianą art. 2 konstytucji w tym duchu, aby młode pokolenia meksykańskie były wychowywane w duchu socjalistycznym i zdecydowanie antyreligijnym.

Jak widzimy, w Meksyku już się średniowiecze skończyło, choć trwało ono do r. 1925.

STOWARZYSZENIE SPINOZOWSKIE

Powstało w Warszawie stowarzyszenie pod nazwą: „Societas Spinozana Polonica“, oparte na założeniach międzynarodowego stowarzyszenia „Societas Spinozana“, w Hadze. Ma ono na celu badanie i krzewienie filozofji Spinozy w Polsce. Założycielami są: prof. dr. I. Myślicki, adw. A. Stawski i adw. W. Barcikowski. Do Zarządu oprócz założycieli należą: sędzia Sądu Najwyższego S. Walfisz i dr. E. Fraeunglas. Adres Zarządu: Warszawa, ul. Śniadeckich 12m.6. Posiedzenie inauguracyjne odbędzie się w środę dn. 24 stycznia o godz. 8 wiecz. w lokalu Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych plac Trzech Krzyży 4. Goście będą mile widziani.

LIKWIDATORZY Spółdzielni Wydawniczej „Bez Dogmatu“ w Warszawie z odpowiedzialnością udziałami zawiadamiają niniejszym, że na dwóch nadzwyczajnych zgromadzeniach członków spółdzielni w d. 6 i 20 grudnia 1933 r. została powzięta uchwała o rozwiązaniu spółdzielni oraz przeprowadzeniu jej likwidacji.

Niniejszym wzywa się wierzycieli rzeczonej spółdzielni do zgłoszenia, pod skutkami art. 80 i 81 ustawy o spółdzielniach, pod adresem: Warszawa, Królewska 16, w ciągu 3-ch miesięcy od daty ogłoszenia, swych roszczeń z podaniem tytułów wierzytelności, potwierdzonych odnośnymi dokumentami.

OD ADMINISTRACJI

Czas odnowić prenumeratę na rok 1934.

Kto zalega z bieżącą zapłatą winien bezzwłocznie uregulować należność.

Wstrzymanie zapłaty podrywa byt wydawnictwa.

KOLEKTURA PAŃSTWOWEJ LOTERJI KLASOWEJ POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

Warszawa, Królewska 16, telefon 218-14

po le c a :

losy do pierwszej klasy 29-tej Loterji Państwowej

Cena: $\frac{1}{4}$ losu zł. 10.— $\frac{1}{2}$ losu zł. 20.— 1 los zł. 40.—

Należność prosimy przekazywać przez P. K. O. 16488.

STUDENT 4 go kursu matematyki (wolnomyśliciel) udziela korepetycji. Ul. Żytnia 11, m. 12, lub w administracji „Wolnomyśliciela P”.

ODCZYTY W POLSKIM ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

Warszawa, Królewska 16

W sobotę, d. 20 stycznia o godz. 8 wiecz. ob. *JAN NEPOMUCEN MILLER* wygłosi odczyt p. t. ŻYCIE SPOŁECZEŃSTWA W LITERATURZE.

W sobotę, d. 27 stycznia o godz. 8 wiecz. ob. prof. *WŁADYSŁAW GUMPOWICZ* wygłosi odczyt p. t. RASY A NARODY.

TRZĘŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

W. PONIECKI — Lenin. H. JUSZKIEWICZ — Sztuka a tradycyjny pogląd na świat. ROMAN B. — Moje rozstanie z bóżnicą. ST. ASTÉ — Chrześcijańskie mity. Międzynarodowy Kongres Wolnych Myślicieli. Z żałobnej karty. Kronika pacyfistyczna. Kronika. Odczyty.

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskimi”)

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie	zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	numer pojedynczy	60 gr.
kwartalnie	„ 5.00	zagranicą	25 zł. rocznie

PRENUMERATA „BŁYSKÓW” (bez „Wolnomyśliciela Polskiego”)	
Za 1 egz. rocznie	zł. 1.20
„ 5 „ „	5.00
„ 5 „ półrocznie	2.50
Za 10 egz. rocznie	zł. 9.00
„ 10 „ półrocznie	4.50
„ 10 „ kwartalnie	2.25

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Red. **Marja Jankowska**, Wyd.: **Sp. „Bez Dogmatu” z odp. udz. w likw.**

Druk. F. Kierski, Warszawa, Żelazna 28, tel. 286-54.